

Wojciech Stanisławski: Utkanie

Dwie opowieści bardzo różnych autorów, Anny Nasiłowskiej i Andrzeja Mencwela, ukazują z mocą starą prawdę o tym, jak bardzo jesteśmy „w praojcach swoich pogrzebani”. Ich nurt, spokojny, ale coraz potężniejszy, wchłaniający coraz więcej dopływów, przypomina jedną z wielkich rzek.

Omówienie dwóch tytułów w jednej recenzji? Ma to sens, jeśli widzimy ich głębokie podobieństwa albo przynajmniej istotny wspólny rys. Ale taki *matchmaking* – ale nie, sięgnijmy tu po piękne, staropolskie słowo, których tak wiele można z obu tych tytułów zaczerpnąć: zmawianie – niekoniecznie musi być autorom w smak. Szczególnie, jeśli nie łączymy ze sobą, z fantazji albo z urzeczenia niespodziewanym podobieństwem, dwóch książek z zupełnie różnych światów, lecz rzeczy napisane i wydane w tym samym niemal czasie i w tym samym mieście. Co więcej, autorów nie anonimowych i nie zapoznanych; owszem, znanych i czytanych, i obecnych w kulturze od lat (choć dzieli ich półtora pokolenia), nie tylko jako pisarze, lecz również jako opiekunowie i badacze literatury.

Przeczytaj również: Czytelnia publiczna – recenzje Wojciecha Stanisławskiego

I wreszcie, jakby powyższych znaków ostrzegawczych było mało, „Węzeł rodzinny” Anny Nasiłowskiej i „Wszystko o mojej babci” Andrzeja Mencwela nie są pracami naukowymi, gdzie autor może sobie pozwolić

na bezosobowość, ani bodaj fabulacjami czy esejami, w których widać go tylko w półcieniu, w lustrze, na tyle, na ile zechce się odsłonić. To relacje bardzo osobiste (choć napisane z wielką dyskrecją), nieledwie zwierzenia, na pewno opowieści rodzinne. Takie wyznania, jeśli już się je poczyni, oczekują uwagi, nieraz – wyłączności: czy naprawdę roztropnie jest łączyć je pod dachem jednej noty?

Jeśli zdecydowałem się na to, mimo tych zastrzeżeń, to urzeczony zbieżnością, której nic nie zapowiadało. Zbieżnością – przy wszystkich różnicach, o których za chwilę! – postawy autorskiej: połączenia delikatności, dociekliwości i namysłu. A przede wszystkim głębokiego zrozumienia, jak bardzo jesteśmy „w praojcach swoich pogrzebani”; jak rzeczywistość sprzed półtora wieku i stu lat (ta wielka – polityczna, wojenna, obyczajowa, społeczna – i ta mniejsza, relacji między rodzicami a dziećmi, krewnymi, rodzeństwem) warunkowała ich, kształtowała, a przez nich – warunkowała nas. Nie w trybie „traum”, przekazywanych niczym bolesna kancera, odkształcenie powstałe w miejscu uciskania, za które można mieć jedynie pretensje. Nie, w trybie rozumianym intuicyjnie przez stulecia, a potem dodatkowo potwierdzonym przez genetykę (choć i to na niewiele się zdało): dziedziczenia. Oczywiście, nie tego zapisanego na łańcuszkach DNA (choć w obu książkach wiele jest mowy o przekazywaniu również tej dymensji życia: sylwetek, odcieni oczu, talentów i chorób; „- O, Roman, ona ma taką twarz jak ty”, wykrzykują koledzy stryja u Anny Nasiłowskiej; „Cesia nie była taka postawna i urodna jak Stasia ani zgrabna i gibka jak ja, tylko przysadzista, w sobie pełna...” – opisuje babcia Andrzeja Mencwela swoje dwie pierwsze córki). Tego, które polega na odkładaniu się doświadczeń – powszechnych, wspólnotowych i prywatnych – w przeszłości jednej rodziny.

Będę jeszcze bronił tezy o tej głębokiej zbieżności, bo tymczasem wypada mi napisać kilka akapitów o tym, co stanowi o charakterze i niepowtarzalności tych książek. O przyjęciu odmiennej perspektywy, innym taktowaniu wzruszeń, innych sposobach ukazywania siebie. Nie mówiąc już o tym, co oczywiste: innych odtworzonych tam światach, bo – chociaż nie trafiamy tym razem na żadne Kresy, dziśnieńskie, wołyńskie czy dolnośląskie – i tak zanurzymy się w zupełnie różne mateczniki (i w tym także zasługa tych książek! – że ukazują warszawskim, cyfrowym inteligentom, których horyzont wyznaczają, jeśli już nie Paryż, Rzym i Kijów to Suwalszczyzna, Beskidy i Dolny Śląsk, jakimi osobnymi światami mogą być Podlasie, powiat kościański, ziemia płocka i rawska).

„Węzeł rodzinny” Anny Nasiłowskiej jest – w zewnętrznej, konstrukcyjnej warstwie – znacznie bliższy temu, co moglibyśmy nazwać kroniką rodzinną, czy może bardziej „wywodem”. Wiadomo, drzewa genealogiczne można szkicować, skupiając się na ich koronie (z przodka lub przodków wyrastają rozłożone coraz szerzej gałęzie) lub na korzeniach (różne rodziny, filiacje, szczepy, z których, za sprawą małżeństw i narodzin, zbiegających się wiązek, pojawiłem/łam się na tym świecie). Autorka wybrała tę drugą perspektywę, opisała dwa, trzy, pokolenia, które za nią stoją, okazjonalnie tylko sięgając do czwartego, i rzadziej jeszcze – do czasów naprawdę bardziej odległych, do pogranicza litewsko-lackiego, do ziemi drohickiej i bielskiej.

Przyznam, że w pierwszych kwadransach lektury przestraszyłem się trochę perspektywy tak odległej, zapisu tak solennego, w dodatku – inkrustowanego informacjami, na które czytelnik z cenzusem historyka zerka trochę pobłaźliwie, a trochę z niechęcią, bo wydaje mu się, że

pozjadał wszystkie rozumy i informacje, że na Kercelaku handlowano starzyzną, a tramwaje konne zaczęły znikać z ulic Warszawy dopiero pod koniec pierwszej dekady XX wieku byłyby, jak sądzi, może na miejscu w pracy popularnonaukowej lub pisanej z myślą o czytelnikach z pokolenia dzieci i wnuków – jemu jednak zamulają tylko percepcję.

Być może te „objaśnienia epoki” znikają po pierwszych kilkunastu stronach – a może po prostu przeoczyłem je, porwany nurtem tej opowieści: spokojnym, ale coraz potężniejszym, zagarniającym coraz szersze połacie, wchłaniającym coraz więcej dopływów – jak jedna z wielkich rzek ludzkości. Dwa jej wielkie ramiona, zatytułowane „Strona ojca” i „Strona matki” zmieściły wywód przodków i panoramę przemian rodzinnych stron; opis losów rodziny w dniach wszystkim wspólnych kataklizmów (wybuch wojny, lata okupacji, „dziwne wyzwolenie”); epizody historyczne o szerszym znaczeniu ale nieznane, jak sądzę, nikomu prócz garstki specjalistów (kto słyszał o „niesławie” i krzywdzie, jaką poniósł na swym honorze 3. Pułk Ułanów po bitwie warszawskiej?) i historie najzupełniej prywatne, a przy tym niesłychanie wymownie ukazujące różnorodność polskich losów (romans, a później związek działaczki Bundu i mistyka-socjalisty z SDKPiL-u – czy ktoś potrafiłby to wymyślić, gdyby nie miało to miejsca naprawdę?). *Petites histoires*, smaki i niesmaki złych lat (wilcze bilety lat stalinizmu, samotność „niepolitycznego”, ciśniętego do Wielkiej Brytanii przez powojenne wiry emigranta), a obok – perliste, warszawskie anegdotki, jak ta o rozkrochmalającym się nagle na wspomnienie dawnych lat Andrzejowi Wielowieyskim... Kosańce i lebiódki, cebula odmiany rawskiej, resory, tramwaje, rana od bomby lotniczej – i poezja Trembeckiego.

Z tym wszystkim – nie jest to klasyczny rodowód, systematyczna i pracowita opowieść kronikarska, podparta relacjami żyjących członków rodziny, zachowanymi dokumentami, może amatorską kwerendą, rozsmarowana diachronicznie na pajdzie XX wieku. Zaryzykuję grube porównanie: pień drzewa genealogicznego jest tu nie tyle cięty w poprzek, lecz heblowany. Zna to doświadczenie każdy, kto przez chwilę miał do czynienia z lekkim drewnem, choćby z sośniną: za każdym pociągnięciem ostrza ukazuje się nowy rysunek ciemnych i jasnych słoików. „Węzeł rodzinny” jest w całości porządkowany przez oś czasu – okupacyjne trwanie w Rawie Mazowieckiej opowiedziane jest nieledwie miesiąc po miesiącu, od września '39 po styczeń '45, oba „ramiona” opowieści zaczynają się od wspomnienia przodków, kończą starością i odejściem rodziców – stale jednak pojawiają się w nim odwołania do spraw i zależności wspomnianych, zasygnalizowanych już wcześniej. Ta książka, w ostatnich zdaniach przedstawiona jako tren, jest nim – ale jest trenem szczególnym: jest poważną, hermeneutyczną pracą nad zrozumieniem tego, co stworzyło rodziców autorki i ją samą, nad wszystkimi zaszłościami i warunkami, które zdecydowały o wyborach dróg, o kształcie miłości i nie/czułości.

Tę książkę pisała Anna Nasiłowska – poetka i krytyczka, historyk literatury i biografistka, która nawiązuje do swojego dorobku. Najszerzej – do biografii Sławomira Mrożka, dopowiadając ją, lecz przede wszystkim objaśniając swoją opowieść odwołaniami do wyborów i uprzedzeń *self-made* inteligenta z Borzęcina (jak jaśniej widać teraz wybór tego właśnie bohatera, jak rozumiała staje się przenikliwość i empatia tamtej pracy!). Znalazły się jednak w „Węźle rodzinnym” również odwołania do powieści opowiadającej losy jednego z dziadków („Konik, szabelka”, 2011), znacznie oszczędniejsze – do

zbiorku wierszy, do „szalonego (i fortunnego – ws) projektu napisania «Historii literatury polskiej»”, do lat studenckich i IBL-owskich, do własnego macierzyństwa.

Te odwołania są jak oparcie dla ręki, którego szukamy przez chwilę we wspinaczce po kamienistym gruncie, w wędrówce przez splątane poszycie. Bo, wracam do tej myśli, największym wysiłkiem i pracą tej książki jest zadanie stare jak starożytni Grecy: zrozumienie tego, kim się jest i **z kogo** takim się stało. Ta praca dokonana została z wielką delikatnością i zarazem wielką szczerością: obiema w tak dobrej proporcji, że nie wypada jej nawet komentować: wystarczy odnotować.

Jak zupełnie inna – i równie poruszająca! – jest opowieść Andrzeja Mencwela. Tu mamy do czynienia z jednym ramieniem, jednym dopływem biograficznej rzeki. W dodatku – trudno kontynuować hydrograficzne porównanie – to opowieść kołująca, po mistrzowsku wyprowadzana, w kolejnych całościach, z tego samego krótkiego, prześwieconego słońcem, na pozór banalnego epizodu uruchamiania napędzanej jeszcze końską siłą młockarni. „Jeszcze chwila ciszy i bezruchu”: moment wieczny, zanim przejrzyste powietrze napełni się wirującym kurzem i plewami jak sam kosmos: jakie to kochanowskie!

To opowieść „splatająca zdarzenia i zmyślenia” (w mechanicznych systemach klasyfikacji zostałaby pewnie zaklasyfikowana jako „autofikcja”), wykorzystująca wspomnienia autora, jego krewnych i powinowatych. To kolejne ogniwo autorskiego zamysłu „powieści z życia” po „Stronie ojca” (2022), to książka ułożona w przejrzystej – choć migotliwej, umykającej w pierwszym okrążeniu lektury – konwencji: babcia Agnieszka „opowiadana” jest, gdy na progu domu, po

czym płynnie, bezszwowo przejmuje monolog i prowadzi go, kołujący wokół rodziców i dzieci, choć najmocniej zapętlony, rzekłbyś, gospodarskim językiem, że spętany, wokół jednego: przedwczesnej o wiele lat śmierci ukochanego męża, który w obronie swojej godności „postawił się” w latach okupacji i został skazany przez niemiecki sąd na obóz pracy, z którego trafił do Auschwitz i nie wrócił. Niczym podwójny węzeł zaprzęgowy ta opowieść umocowana jest dwukrotnie: w książce – chwilą na progu, w narracji – opłakiwaniem Ignaca.

Przeczytaj również: Wojciech Stanisławski o „Stygmacie”

Język tej opowieści! Pachnący od pierwszej strony, może najmocniej teraz, na wiosnę, kiedy nawet warszawski inteligent jest w stanie wywęszyć wilgotną ziemię. Słowniczek na końcu książki wymienia garść wielkopolskich regionalizmów, *jaczkę, kierzki i szczuna*, ale nie w tych terminach rzecz, lecz w polszczyźnie, która zagarnia nas od pierwszych fraz: „Akuratnie mi to wiązać”, „kopalim torf”, Kaźmierz, kompielka, utopim... Jak w orce wiosennej mieszają się warstwy, „a pochylone” i miękka wymowa wielkopolska, zdrobnienia z -yszkciem. Polszczyzna godna i dumna, jakby czekała na użycie od renesansu („a należycie posażna i urodna dotąd się nie trafiła”), a obok tego nazwy narzędzi, roślin i gospodarki, nad którymi trzeba się chwilę zastanowić: czym właściwie jest stalowa mufa, w którą trafić musi drewniany dyszel, czym się różni słoma od sieczki? To już nie kochanowskie: to kasprowiczowskie. To wielka nobilitacja języka wsi, oddanie mu godności, na taką skalę, z taką konsekwencją nieobecne w literaturze polskiej od dawna, pewnie od czasu dokonań Wiesława Myślińskiego. Ale obok tego błysnie nagle „szczęście istnienia”: jakby Agnieszka czytała nie tylko „powieści, szczególnie miłosne, o tej hrabinie, co król

August najpierw ją kochał do szaleństwa, a potem w kamiennej wieży kazał zamknąć do końca życia; o przygodach Heleny i Jana, co ją utracił i szukał po Dzikich Polach”, ale i Bergsona.

To rzecz najgłębiej epicka, wracająca do korzeni, jak wracały wielkie powieści naturalistyczne początku XX wieku, polskie, duńskie i norweskie: pochwały, jak wtedy mawiano, „kręgu życia”, radości narodzin, ludzkich i zwierzęcych, i nieuchronności śmierci. Mocno wpisana w czas historyczny (tragiczną śmiercią męża, wędrówkami ojców za chlebem „do Westfalii” i powojennym rozproszeniem rodziny), daleka od polityki, choć z bardzo wielkopolskim kodeksem honorowym, który kazał porzucić myśl o posiadaniu nauczycielki: owszem, można tłumaczyć i pisać ojcu podania w urzędowym języku, ale „żebyś miała po niemiecku dzieci uczyć i kajzerowi przysięgać, to nie”. Najmocniej jednak zakorzeniona w czasie wiecznych sezonów: „wojny owadów wojny ludzi i krótka śmierć nad miodu kwiatem. / Dojrzewa zboże. Kwitną dęby. W ocean schodzą rzeki z gór”.

Ta opowieść, przywróciwszy godność wiejskiemu językowi, przywraca godność wsi i jest jej wielką pochwałą: matczyne pouczenie skierowane do Agusi w dniu zaręczyn – „patrz mi dumnie w oczy, nie w podłogę, jemu też, jejim obu, synowi i ojcu, bo jesteś młodą panią, urodną gospodarką córą, a nie dworską uniżoną służką!” mogłoby być kodą tej książki. Mogłoby – oby tak się stało! – być mottem wielu innych.

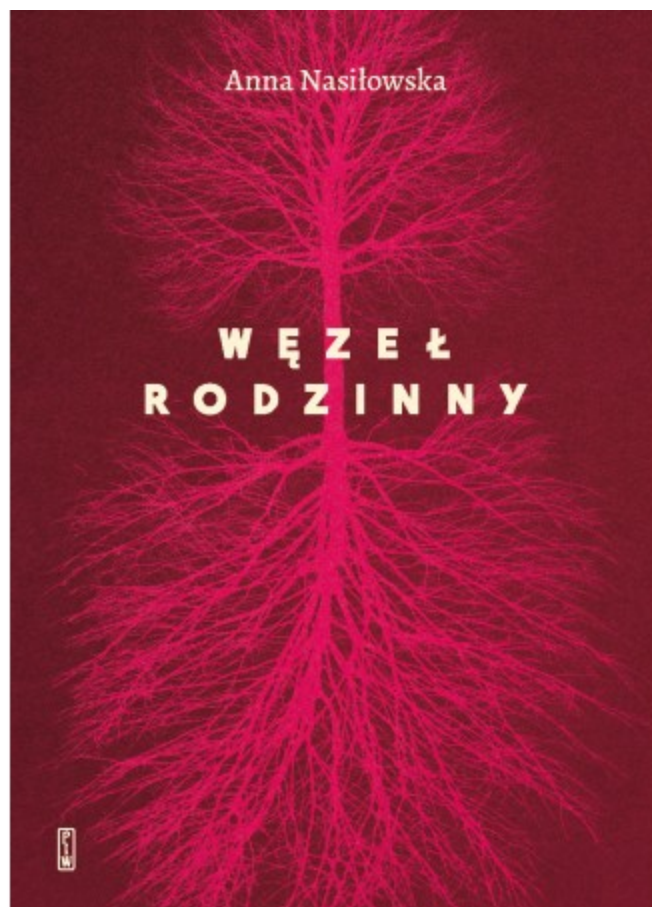
Stawiam obok siebie te dwie opowieści, mimo ich różnic gatunkowych i stylistycznych, mimo odrębności opisywanych miejsc i czasów. Łączą je rzeczy wielkie i małe, oczywiste i dyskretne: szczególna więź splatająca z ojcami Agnieszkę i Annę, ale i namacalność, zmysłowość niemal

spraw ziemskich, plew i lebiody. Łączy je „ludowość” tak różna od tej z manifestów i publicystyki: głęboka świadomość kondycji, trudów i upokorzeń włościan, gospodarzy i ziemian, jednakowo podległych kosmicznym cyklom żniw i młócki, żelaznym cykлом bomb i rekwizycji. Łączy je świadomość godności wsi: po dekadach szyderstw z wsiaków, po zatriumfowaniu, w polszczyźnie i w życiu, chama, który przecież nie „ze wsi” się wziął, lecz (to Nasiłowska w posłowie) narodził się „w epoce powszechnego awansu na skróty przy zaburzeniu procesów oceny” – ta obrona godności jest oczyszczająca jak wody potopu.

Ale najbardziej wydaje mi się godne podkreślenia inne pokrewieństwo. Obie te książki pojawiły się po – nie przesadzam – dziesiątkach publikowanych w ostatnich latach relacji (czasem fabularnych, czasem ‘autofikcyjnych’, czasem reporterskich czy pisanych w trybie wyznania) o dorastaniu i wyjściu z domu. Pozycji, które ociekają poczuciem krzywdy, żalu, a co najmniej wyrzutu, pozycji, które enumerują każdy wmuszony kotlecik, każdy podniesiony głos i każdą niekupioną zabawkę z taką skrupulatnością, jakby rodziły się w kancelarii mecenasa, szykującego pozew za wszystkie traumy dzieciństwa.

Oczywiście, bywa w rodzinach różnie, czasem bywa naprawdę strasznie. Krzywda stała się jednak, mam wrażenie, manierą. Dwie mądre książki o niedoskonałych rodzinach w trudnych czasach przypominają rzecz nie tak dawno oczywistą: rodowód, wpływ tych, którzy byli przed nami, tego, jak nas wychowywali i traktowali, co przekazali nam świadomie, co bezwiednie, a co, bo bywa i tak, wbrew sobie, może być – bywa – węzłem, czasem wręcz supłem. Ale też – utkaniem.

Wojciech Stanisławski



Anna Nasiłowska, „Węzeł rodzinny”, PIW, 2026

POWIEŚĆ

POWIEŚĆ
Andrzej Mencwel
Z ŻYCIA

II. Wszystko o mojej babci



**Andrzej Mencwel, „Powieść z życia II. Wszystko o mojej babci”,
Nisza, 2026**

Recenzje Wojciecha Stanisławskiego w ramach cyklu „**Czytelnia publiczna**” ukazują się co dwa tygodnie.

► **Przeczytaj wcześniejsze recenzje**